



ADRIANNA RATAJCZAK

*Nuvole
Bianche*

BIAŁE
CHMURY




TOM I



GORZKA
CZEKOLADA

Copyright © 2023 by Adrianna Ratajczak
Copyright © 2023 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

- W powieści wykorzystano fragmenty poniższych utworów:
K. Poklewski-Koziół, *Due proces of law*,
[w:] *Institucje i doktryny prawnopolityczne Stanów Zjednoczonych Ameryki*,
pod. red. W. Sokolewicz, Ossolineum 1974, s. 395.
S. Waltoś, P. Hofmański, *Proces karny. Zarys systemu*, wyd. XIII,
Wolters Kluwer, Warszawa 2016, s. 335.
E. Gibbon, *Upadek Cesarstwa Rzymskiego na Zachodzie*,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2000, s. 375
w przekładzie Ireny Szymańskiej.
P.B. Shelley, *Zmienność* w przekładzie Włodzimierza Lewika,
[w:] *Poeci języka angielskiego*, tom II pod red. H. Krzeczковского,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, s. 319.

Projekt graficzny okładki Urszula Gireń
Skład i łamanie Radosław Stępniaik |  SHOLY studio

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach
i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko
na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo
do prawdziwych postaci – żyjących obecnie lub w przeszłości –
oraz do rzeczywistych zdarzeń i miejsc jest czysto przypadkowe.

ISBN 978-83-8265-597-1

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Pozkał

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej
kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc
nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie.
Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz
wydawcom nadal publikować książki.

Babciu, Mamo,
Chmury są dla Was.



Nivole nere Czarne chmury

*Anglia, Belvoir Castle,
1816 rok*

Główny salon o wysokości dwóch pięter, który optycznie wydłużały i dodatkowo powiększały ogromne lustra, stanowił serce Belvoir Castle, zamku należącego od wieków do rodu Mannersów. Ściany pokrywała seledynowa tapeta o wypukłych i skomplikowanych wzorach, którą dobrano tak, by idealnie komponowała się ze zdobioną złotą sztukaterią oraz rozetami otaczającymi malowidła na suficie. Najbardziej reprezentacyjne pomieszczenie w całym domu zwykle o tej porze skąpane było w kojącej ciszy i promieniach zachodzącego słońca. Wpadały one do środka przez spore prostokątne okna umiejscowione w półokrągłej wieży będącej charakterystycznym elementem architektury budynku.

Na próżno jednak było szukać słońca, gdy niebo pokrywały ciemnoszare chmury. Półmrok panujący w pomieszczeniu rozświetlały liczne kinkiety oraz potężny dwunastoramienny żyrandol. Trudno było również o spokój, gdy na sofach i w fotelach rozsiedli się pogrążeni w rozmowach załobnicy.

Dlatego Alistair, wbrew prośbom matki, sztywno wyprostowany przeszedł przez główny salon. Miękkie perskie dywany

tłumiły dźwięk jego kroków. Ignorując rzucone mu spojrzenia i nie odpowiadając na adresowane do niego wyrazy współczucia, wyszedł z domu. Żwir chrząścił pod jego stopami, gdy przemierzał rozległy taras. Oparł dłonie na chłodnym kamieniu, z którego wykonano balustradę, wziął głęboki oddech i poruszył ramionami, czując drżące w nich napięcie.

Stał tak, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w zadbane ogród i horyzont. Przez chwilę nie myślał o niczym, rozkoszując się ulotną chwilą spokoju. Nawet jeśli obserwowano go z okien wychodzących na tę część posiadłości, czuł się wolny prawie tak samo jak w trakcie długiej i samotnej podróży po Europie.

Obszedł powoli mur, odszukując kamienne stopnie prowadzące w głąb ogrodu. Podążył stanowczym, szybkim krokiem jedną z licznych alejek. Znowu nie zwracał uwagi na równo przystrzyżone krzewy ani mieniające się kolorami kwitnące rabaty. Ignorował także przybierający na sile wiatr, który targał jego przydługie ciemne włosy.

Chciał być sam. Chciał odejść jak najdalej od tych wszystkich ludzi, uwolnić się od ciężących mu niczym okowy zasad dobrego wychowania oraz reguł towarzyskich. Nie miał w sobie wystarczająco dużo siły, by dalej ignorować mało subtelne propozycje. Na litość, to był pogrzeb jego ojca! Z trudem nad sobą zapanował, by nie warknąć na trzeciego arystokratę, który postanowił przedstawić mu swoją córkę, dziwnym trafem będącą w wieku odpowiednim do zamążpójścia.

Alistair odziedziczył tytuł, a wraz z nim majątek i liczne obowiązki, w tym jeden konieczny, acz przykry – musiał się ustosunkować, z czego boleśnie zdawał sobie sprawę. Od dziecka niczym cień podążała za nim świadomość, że kiedyś to nastąpi. Wizja założenia rodziny powinna go uskrzydlać, dodawać mu sił, ale zamiast tego wprawiała go jedynie w ponury nastrój. Nie znosił tego.

Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się poza granicami wypielęgnowanego ogrodu. Przystanął i obejrzał się, raz jeszcze

zerkając na masywną bryłę Belvoir Castle. Bez względu na to, gdzie aktualnie przebywał, ten zamek zawsze był dla niego domem, a teraz stał się również jego własnością. Wzdrygnął się na samą myśl, splótł dłonie i ruszył wydeptaną ścieżką przez las. Pogoda, podobnie jak samopoczucie młodego diuka, nieco się polepszyła – miejscami blade promienie słoneczne przebijały się przez gęste korony drzew, aby następnie spadać podłużnymi łunami na suchą ściółkę. Każdy jego ruch, najmniejsze nawet drgnienie, powodował wzruszenie pyłu, którego drobinki wirowały w fascynujący sposób w żółtym świetle.

Zagapił się, przez co w asyście głośnego plasku wdepnął po kolana w grząską, wilgotną ziemię mokradeł. Jak mógł o nich zapomnieć? Powoli wspiał się na pobliski kamień, a z niego przeskoczył na kolejny, aż wreszcie poczuł pod stopami twardy grunt. Do mokrych ubłoconych butów niemal natychmiast zaczęły się kleić wysuszone igielki. Celowo przesunął stopą po ściółce, sprawiając, że na wilgotnej skórze obuwia osiadł jeszcze piach.

Podjął wędrówkę, rozpoczynając wspinaczkę na Blackberry Hill. Może jego niechlujny wygląd odstraszy od niego tych wszystkich ludzi chociaż na kilka minut. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że nawet odpychający charakter tracił na znaczeniu w zestawieniu z jego tytułem i majątkiem.

Wiedział, co pomyślałaby matka na ten widok – miała za wiele taktu, by powiedzieć coś podobnego na głos – zapewne coś w stylu: „Zostałeś diukiem, Ally, a ten tytuł wymaga odrobinę więcej powagi. Gdyby ojciec widział...”. Jednak ojciec nie widział, a nawet gdyby, na pewno nie miałby mu tego za złe.

Wreszcie dotarł na szczyt wzgórza, gdzie przystanął, wciągając ze świstem powietrze przez rozchylone wargi. Oparł dłonie o umięśnione uda. Diuk. Pokręcił głową. On im jeszcze pokaże, co to znaczy być diukiem, jeszcze się zdziwią.

Alistair wyprostował się i niemal uśmiechnął, widząc rozciągający się przed nim pejzaż. Przez chwilę podziwiał pola oraz

łąkę mieniającą się kolorami dzikich, dopiero co rozkwitających kwiatów oraz soczystą zielenią wysokich traw. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak tęsknił za tym dobrze znanym mu krajobrazem.

Największą radość sprawił mu jednak widok czarnych chmur, które nadal kłębiły się w oddali. Doskonale oddawały to, jak się w tamtej chwili czuł.



*Szkocja, zamek Glamis,
w tym samym czasie*

– Aimil!

Ciężkie, masywne drzwi trzasnęły z takim hukiem, że najpewniej całe Glamis zadrżało w posadach. Dźwięk poniósł się echem po otoczeniu, sprawiając, że z pobliskich drzew poderwało się stado wron, złowrogo kracząc. Potem zapadła niepokojąca cisza, którą przerywał rytmiczny, charakterystyczny dźwięk laski ojca uderzającej o kamienie, którymi wyłożono plac przed budynkiem.

Młoda kobieta potrząsnęła gwałtownie głową i przyspieszyła kroku. Długa spódnica sukni, którą specjalnie włożyła na przyjazd gości, zdecydowanie nie nadawała się na piesze wycieczki, szczególnie w taką pogodę. Czuła oplatające ją i wślizgujące się pod cienki, delikatny materiał zimno, jednak targające nią w tej chwili emocje były zbyt silne, by mogła przejmować się takimi drobiazgami. Chwyła tkaninę w dłonie, uparcie podążając przed siebie – w kierunku równo przystrzyżonego trawnika, a także widniejącej w oddali linii lasu.

– Aimil! – Głos ojca zabrzmiał wyjątkowo stanowczo, a kilka głośnych stuknięć zawtórowało mu w celu wzmocnienia efektu. Nawet się udało, bo na chwilę, ale tylko na chwilę dziewczyna

zwątpiła w słuszność swojego uporu i przystanąła. – Natychmiast wracaj!

Prychnęła pod nosem, podejmując wędrówkę i ignorując wszechogarniający chłód. Nie zamierzała wracać, o nie! Po tym, co właśnie usłyszała? Niedoczekanie! Oprócz złorzeczenia ojca i stukotu laski do uszu dziewczyny dotarł charakterystyczny tętent końskich kopyt uderzających o utwardzoną nawierzchnię długiej alei prowadzącej do zamku. Aimil przystanąła i popatrzyła w tamtą stronę. Przez dłuższą chwilę nie widziała nic poza zielonymi koronami starych drzew, później jej oczom ukazał się elegancki powóz ze znajomym herbem. Wówczas poczuła, jak coś nieprzyjemnie skręciło jej się w żołądku. Teraz, kiedy wiedziała, dlaczego ciotka z kuzynką postanowiły złożyć im wizytę, nie odczuwała już żadnej radości.

– Aimil!!!

Ojciec był zdenerwowany, ale ona również. Z nich dwojga miałyby do tego większe prawo. W końcu on zostanie sobie tutaj, w Glamis, a ona... Aimil jeszcze raz spojrzała w kierunku alei, a serce zabiło jej mocniej, szybciej. Nie podda się bez walki. Jeśli chcą, by wyjechała, będą musieli wywieźć ją siłą. Dlatego zacisnęła mocniej palce na materiale spódnicy i puściła się biegiem przez ostatnie jardy ogrodu, ignorując wołającego za nią hrabiego.

Chciała znaleźć się możliwie najdalej od domu, od ojca, jego intryg i szalonych planów. Wprost nie wierzyła w to, co się działo. Obiecywał, zarzekał się, a tymczasem zrobił dokładnie to samo co inni. Pokręciła głową, a czarne loki wskutek gwałtownego ruchu przylepiły się do wilgotnych od łez policzków. Nawet nie zauważyła, że zaczęła płakać. Poirytowana odgarnęła włosy z twarzy, pociągając żałośnie nosem, podczas gdy zimny wiosenny wiatr bawił się spódnicą sukni.

Przylgnęła do pnia pobliskiego drzewa, przesuwając po szorstkiej korze drżącymi dłońmi. Miała ochotę krzyknąć. Nie chciała jechać do Londynu i była gotowa zrobić wszystko, absolutnie

wszystko, by ten wyjazd odwlec. Może i obraz miejskiej socjety, jaki kreowała swoim zadbanym pismem kuzynka Rachel, był fascynujący, ale tylko wtedy, gdy wyobrażała go sobie, przesiadując w ulubionym fotelu i czytając listy ze stolicy. Lubiła Rachel, trochę mniej jej matkę, ciotkę Silę, ale... Tupnęła, dając w ten sposób upust swoim emocjom, i odepchnąwszy się od drzewa, podjęła dalszą wędrówkę.

Lady Cecily, poprawiła się w myślach, *w Londynie przeszkadza im nawet brzmienie naszych imion.*

Dom Aimil był w Szkocji, na ziemiach równie nieokrzesanych jak ona sama. Tutaj nie liczyły się konwenanse... Dobrze, może jednak się liczyły, ale z całą pewnością nie tak bardzo jak na południu. Zatrzymała się, a jej klatka piersiowa gwałtownie unosiła się i opadała po tym, jak się przeforsowała wspinaczką na niewielki pagórek.

Wiatr osuszał policzki dziewczyny, chłodząc również buzujące w niej emocje. Gniew Aimil stopniowo słabł. Ustępował temu, czego młoda panna nie znosiła z całego serca – obawie. Mogła się denerwować, krzyczeć, protestować, ba, mogła nawet uciec do brata, ale wiedziała, że ojciec dopnie swego. Wyśle ją na południe na rozpoczęcie sezonu, a ciotka Sila zrobi wszystko, aby znaleźć dla niej męża.

I chociaż cały świat – jak sądziła – sprzysiągł się przeciwko niej, nawet poszarzałe niebo, po którym szaleńczo mknęły niemal czarne chmury, Aimil zdała sobie sprawę, że nie może się poddać. Niech będzie, pojedzie do tego Londynu. A gdy tylko zorientują się, że tam nie pasuje, prędko odesłają ją do Glamis, do domu.